

Intermedium

Opowiadam jak w transie lub orgazmowo-nostalgicznym ciągu. Bez nadziei, że mnie zrozumiecie, zaakceptujecie, bo nie podaję znieczulenia. Nie znajdziecie tu nic, co mogłoby was bezkarnie podniecić. Mięso, samo mięso zamarynowane w feromonach sentymentów. Tamagotchi kierowało mną, nie próbując wejść w ludzki kontakt.

Wówczas, trzydzieści lat temu, większości z nas najlepiej gadało się i kochało po prostu przy lub po wódce - nazywanej wódeczką, wódą, paliwem, gorzałką, gorzałeczką, naftą, charą; pieszczotliwie, mocno, chwacko, zawadiacko, straceńczo, odświeżnie i codziennie - jeśli nie była to baltic vodka, straszliwa w natychmiastowym działaniu, unieruchamiająca w pozycji, w jakiej się ją przyjęło. Podobnie działał inny miejscowy specjał, obecnie wpisany na listę towarów podtrzymujących regionalną dumę: starka. Nie wiem, czego do nich dodawano. Wywoływały białą gorączkę, opisywaną przez znanych reportażyistów jako choroba niewielkich narodów dalekiej Północy. Normalne spirytualia, w tym cukrowe, owocowe i kartoflane samogony, działały w sposób zróżnicowany, ale wszystkie wywoływały dłuższą lub krótszą fazę wymowności i konfabulacji. Wyświetlały w głowach równoległe życiorysy sprawiające wrażenie zupełnie realnych.

Po pijaku opowiadałam nieraz o swoim związku z wpływową osobą, o dzieciństwie w domu dyplomatów, o śmiertelnej chorobie. Co ciekawe, opowieść o chorobie należała do wersji różowej, snułam ją i rozwijałam w ciepłe dotykowo-wizualne spektrum, gdy chciałam na użytek swój i współbiesiadników stworzyć przyjemne obrazy. W wersji płacziwej i tragicznej umieszczałam fragmenty prawdziwych strat i lęków: chora tym razem była matka, obwiniałam swojego mężczyznę za własną zdradę, powoływałam do życia nieistniejące przyrodnie rodzeństwo, pokazywałam blizny i opowiadałam ich nieprawdziwą historię.

Teoretycznie, czysto teoretycznie, picie sprzyja narracji. W praktyce zabija świat dookoła i uruchamia ciągi kłamstw, które udają literaturę autobiograficzną. Wspominam o tym, bo przecież moja opowieść ma być szczerą. Zacny trunek, dodajmy, spowalniał narrację, dopuszczał do niej współbiesiadników i rzeczywistość. Mogła to być Finlandia, Smirnoff, Żytia, bo o kombinacjach w rodzaju mojito nikt nie słyszał. Po mojito to można rzygać albo tańczyć, nie opowiadać. Po żytku samo się mówiło. Po przepalance na sztuczny miódzie do pakietu dodawało się dziadków i wojny. Tak, były też dziwne, trącające aluminiowymi beczkami specjały, które wywoływały halucynacje. Ze strachu mogłabym się bić, ale jako kobiecie wypadało mi tylko

krzyczeć. Stopniowo rezygnowałam z picia, dolewałam alkoholu pozostałym, zadowolając się innego rodzaju podnietami.

Spowiadam się, jakbym - wiecie, wiecie, o czym mówię - sączyła peweksowskie czerwone martini lub campari z lodem. Zanim żołądek odpowie na mieszankę alkoholu i aromatów w wiadomy, nieprzyjemny sposób i mnie uciszy. Siedzimy sobie elegancko w fotelach, popijamy, zagryzamy czymś innym niż wówczas - precz z paluszkami, orzeszkami, ananasem z puszki, kanapkami, krakersami, precz z pierwszymi mięsami z grilla - a ja staram się na wasz użytek zrekonstruować węzłowe momenty swojego życia erotycznego, historię osvajania Tamagotchi, swoje wątpliwości i motywacje. Spokojnie, leci z nami pilot i w stosownym momencie go użyję.

Czy cała moja egzystencja upływała pod znakiem podbojów miłosnych? Tak i nie. W dwudziestym czwartym roku życia miałam za sobą humanistyczną edukację formalną z zupełnie nieźle zaliczonymi przedmiotami ścisłymi. Wiedziałam o świecie wszystko, co dziś mogłabym przeczytać w Wikipedii. Przeczuwałam już także luki, nad którymi zamierzałam pracować. Już mnie uwierali Kundera i Hrabal, chociaż nie używałam słowa „mizoginia”, może go nawet nie znałam. Antykomunizm mi nie wystarczał. Klasycy literatury i filmu polskiego zaczęli budzić moje wątpliwości. Kino moralnego niepokoju niepokoilo

mnie w niewłaściwy z punktu widzenia twórczych celów nadrzędnych sposób. W DKF-ie zaliczyłam *Emmanuelle*, nad samodzielnie przetłumaczoną *Historią* O spędziłam noc zaraz po nocy z *Małą apokalipsą*, którą kolportowała młodzież z duszpasterstwa akademickiego. Oczywiście, miałam etap Gombrowicza, ale już nie Witkacego. Z kobiet, poza przekładami francuskiej i angielskiej klasyki, nieco ukradkiem czytałam Gojawiczyńską i Nałkowską. Wydawały się jakoś za bardzo dla kobiet. Nie wiedziałam, co z tym zrobić.

Przeszłam też szkołę oporu. Stan wojenny zastał mnie w liceum, wychodziłam na trzeciomajowe demonstracje, na studiach strajkowałam, byłam przesłuchiwana. Jeździłam do NRD na dowód, czekałam w długiej kolejce do wydziału paszportowego i nie wiedzieć czemu nie dostałam paszportu. Po latach wyszło na jaw, że mój ojciec odmówił współpracy z bezpieką, nie chciał zbierać informacji o kolegach, z którymi podróżował służbowo. Pozwalali mi jeździć na Ochotnicze Hufce Pracy do demoludów. Byłam ateistką, ale uczestniczyłam sporadycznie w kościelnych przedstawieniach. Robiłam swetry na drutach. Umiałam ugotować coś z niczego, najczęściej jedliśmy wówczas pizzę na grubym cieście z - uwaga - kiełbasą zwyczajną i majerankiem. Pasowało do niej piwo Bosman.

Co jeszcze? Kochałam wszystkie swoje polonistki. Mówię to pierwszy raz w życiu i nie

wiem, czy się dowiedzą. W szkole byłam zbyt krytyczna, żeby to ujawnić. Kochałam je w sensie czysto intelektualnym i chciałam naśladować. Ubierać się jak one, mówić jak one, chodzić jak one, siadać na krawędzi biurka jak one. Kłóciłam się z nimi o każdy akapit wypracowania, więc chciałabym umieć jak one reagować na takie bezczelne uwagi. Ze względu na wszystko, co już powiedziałam i co powiem, może wolałyby, żebyśmy nie robiła takich wyznań, ale czy będzie kiedyś okazja? Kto ma coś do powiedzenia, niech uczyni to teraz lub zamilknie, bo taka jest kolej rzeczy. Kocham was, moje panie od polskiego, których imiona i nazwiska zagubiły się w moich euforiach i dołach. Utrwalałam wasze istnienie każdym zdaniem, choć na pewno macie ważniejsze zasługi życiowe. Bez was nie byłoby nas – mnie, mojego czasopisma i moich historii. Ale przysięgam – nie umieszczałam was w centrum swoich fantazji. Co najwyżej nosiłam podobny do waszych naszyjnik. Nie zazdrościłam waszym mężom, nie wykorzystywałam was bez waszej wiedzy. Byłyście święte, trzymałam was na ołtarzykach i paliłam wam najlepsze fajki.

Może postronni nie dadzą wiary, bo znajome, dzięki wielokrotnemu wątkowaniu sprawy, już wierzą: nie miałam tak zwanych kłopotów z tożsamością. Nie słyszałam o zahamowaniach seksualnych. Podręczniki medyczne używały twardej nomenklatury, czytałam je od dziecka,

więc byłam przyzwyczajona do tych nazw, a zarazem spokojna o siebie. Co nie znaczy, że seks był na początku tylko seksem. Przeciwnie, wymuszałam miłość – sposobem na bezdomnego psa, opuszczone dziecko, rychły zgon. Obiecywałam rzeczy, których nie miałam. Zbliżałam się do ludzi przez łóżko i niemal wyłącznie przez łóżko. Nie wierzyłam, że ktoś może mnie lubić po prostu. Za co? Jaką mogłabym mieć wartość, krótko obcięta, niewyjątkowa? W rezultacie nie zadawałam się z cnotkami płci obojga, dzięki czemu unikałam odmowy. Czasem traciłam kontrolę i uwodziłam kogoś „porządneho”, przyznaję. Częściej jednak wyczuwałam swego, proponowałam siebie tym, do których był łatwy dostęp. Na co liczyłam? Otóż nie, niekoniecznie na miłość. Czego chciałam? Ciepła, powstającego przez tarcie ciała o ciało? Na szczęście seks dość szybko okazał się także seksem. Myślę, że już w łóżku nauczyciela. Poczułam w nim coś, co znałam – ekscytację płynącą z różnicy, w tym przypadku metrykalnej. Różnicę czułam także, kochając się z kobietami. Kochając się z nimi, byłam kowbojem, zdobywcą. Kochając się z nimi, byłam małą dziewczynką. Mogłam wszystko.

Przyznam – choć niestraszny mi był czysty spirytus, stopniowo zaczęłam odrobinę markować picie w tej pijącej republice, jaką był końcowy PRL, bo potrzebowałam trzeźwego umysłu, żeby

realizować planowane podboje. Prawdziwego kopa dostawałam przez własny układ krwionośny - od Tamagotchi.

Kiedy opuszczałam uczelnię z dyplomem w kieszeni, byłam niedoszlą żoną, która uprawiała seks średnio pięć razy w tygodniu i za każdym razem miała przynajmniej trzy orgazmy, jakby co - po wyjściu partnerów. Właściwie nie znałam słowa lesbijka; gdy pisałam je palcem na szybie, stopą na piasku, majaczyła mi przed oczami rajfurka z *Nany* Zoli jako moja własna bohaterka literacka i ciotka ze Słupska, o której mawiano „piękna, ale nienormalna”. Byliśmy w tamtej epoce na ogół dość wyzwoleni seksualnie, ponure rozliczanie z nocy miało nadejść po odzyskaniu niepodległości.